

ŁASKA UŚWIĘCAJĄCA

ŁASKA UŚWIĘCAJĄCA DAJE NAM PRAWO DO NIEBA

Dowiedzieliście się w ostatniej katechezie, że łaska uświęcająca czyni nas dziećmi Bożymi, a więc daje ona prawo do nieba. To już jest konsekwencją tego pierwszego. Kto jest dzieckiem, ten ma prawo mieszkać pod wspólnym dachem ze swoim ukochanym ojcem. Pan Jezus nazywał niebo domem. „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”. Dlatego, kto ma w duszy łaskę uświęcającą, ten może być pewnym zbawienia. Nie tylko może pójść do nieba, ale pojedzie do nieba na pewno, bo ma prawo do nieba tak długo, dopóki ma łaskę Bożą.

Ale kto ma łaskę Bożą, łaskę uświęcającą, ten już na ziemi jest niezmiernie szczęśliwy. Bo jeśli Pan Bóg opiekuje się każdym człowiekiem z osobna, to jak troskliwie opiekuje się swoimi ukochanymi przyjaciółmi i dziećmi. Dlatego taki człowiek zawsze jest szczęśliwy, bo nawet cierpienia i próby przyjmuje jako dary z ręki ukochanego Niebieskiego Ojca w niebie.

POWTÓRZENIE:

Omówiliśmy dotąd skutki łaski uświęcającej w duszy, czyli odpowiedzieliśmy na pytanie, co nam daje łaska uświęcająca.

Łaska uświęcająca jest to dar Boży, który daje nam życie nadprzyrodzone i czyni nas dziećmi Bożymi.

Łaskę uświęcającą nazywamy darem Bożym, bo nam się ona nie należy. Pan Bóg ją darmo daje, z dobroci swojej. Byśmy mogli iść do nieba.

Co to znaczy, że łaska uświęcająca daje nam życie nadprzyrodzone? To znaczy, że daje nam nowe Boże życie.

Co nam daje łaska uświęcająca?

- a) głodzi grzechy,
- b) czyni nas miłymi Panu Bogu i świętymi,
- c) daje nam cnoty nadprzyrodzone,
- d) czyni nas przybranymi dziećmi Pana Boga,
- e) daje nam prawo do nieba.

Co nazywamy cnotami wlanymi? — są to szczególne cnoty Boże, które pomagają nam spełniać dobre uczynki.

Co znaczy słowo „przybrane” dziecko Boże? — Synem Boga właściwym jest tylko Pan Jezus, a my tylko możemy być przybranymi czyli adoptowanymi dziećmi Boga.

Ks. E. K.

FONTANNA BAKCZYSARAJU

Na Krymie, w Bakczysaraju, znajduje się pałac chanów, a w nim sławna fontanna. Oto, co mówi legenda o jej powstaniu.

Jeden z chanów zakochał się w swojej pięknej brance i pojął ją za żonę. Pod wpływem tej miłości chan zmienił się bardzo. Stał się ludzki, łagodny, czuły na krzywdę i niedolę. Branka jednak po roku zmarła, prawdopodobnie z tęsknoty do swych najbliższych. Chan bardzo rozpaczał po jej śmierci. Całymi dniami płakał na jej grobie. Pewnego razu wezwał do siebie rzeźbiarza i polecił mu, by wyraził jego ból, ale tak, żeby kamień zapłakał.

Artysta długo myślał, aż wpadł na pomysł zbudowania fontanny. Jest ona wyrzeźbiona w białym marmurze. We wgłębieniu marmurowej ściany znajduje się u góry trójlistny kwiatek, który przypomina twarz ludzką. Z otworu kwiatka wypływają krople wody i jak łzy ściekają do wyrzeźbionego poniżej zbiorniczka. Z większego zbiorniczka ściekają do dwóch mniejszych, z tych do następnego większego itd. Sączące się wzdłuż całej ściany krople sprawiają wrażenie, jakby kamień płakał.

Fontanna zmusza każdego zwiedzającego do zadumy. Poeta rosyjski A. Puszkina, zwiedzając pałac, obszedł podobno



(Dokonczenie z nr 36)

Oto na przykład koło Apczyńskich, w głębokim rowie, oddzielającym brukowaną ulicę od sztachet ogródka, zawsze leżało mnóstwo paskudnych śmieci: żelastwa, puszek od konserw, lachmanów, papierków. Teraz — ani śladu dawnego smietnika. Tylko trawa na jego miejscu nie zdążyła jeszcze wyrosnąć i czarna, wydrapana grabiami ziemia zdawała się odychać swobodnie.

— Ktos uprząłnął... — sapnął zdumiony Tadek.

— Uhm! — mruknął Zenek.

Stali z głupimi minami nad rowem, wpatrzeni w oczywiste ślady energicznych porządków.

A tymczasem na ganek wyjrzała Irka Apczyńska, maluch z drugiej klasy, i wrzasnęła na całą wieś:

— Czylapo!

Chłopcy się nadęli.

— Zbzikowała! — krzyknął Tadek.

Na ganek wyjrzała zaraz starsza Apczyńska, Mariola.

— O, jacy mądrzy! — zawołała — Przyszli i wymyślają dziecku!

— To mech się dziecko nie wygłupia z tym „czylapo” — odkrzyknął przez rów Zenek.

— A cóż to? — oburzyła się Mariola — Nie wolno jej? Zbronisz?

Może doszłoby do większej kłótni, gdyby nie wiatr.

Przyleciał, jak zawsze do wsi, nie wiadomo skąd. Wpadł między chłopców, zakręcił piaskiem po drodze, zerwał chusteczkę z głowy Irki. Mało tego — ni stąd, ni zowąd cisnął brudną szmatką do wychuchanego ogródka Apczyńskich.

Mariola przerwała kłótnię z chłopcami i skoczyła między kwiaty grządkę. Złapała szmatkę i wrzuciła ją do dużej skrzyni w regu podwórka. Potem rozejrzała się z tryumfem dokoła i zawołała:

— Bo wy to się tylko zbieracie i naradzacie! A dopiero my naprawdę sprząłamy, żeby we wsi było CZY-sto, ŁA-dnie, PO-rządnie — Zakręciła się na pięcie i chłopcy usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

Spojrzeli po sobie. Tadeusz wzruszył ramionami, Zenek wsadził ręce do kieszeni i gwizdnął niedbale. Poszli dalej. Znow zaczęli mówić o najbliższym zebraniu...

Nagle Tadek zatrzymał się i chwycił Zenka za iokieć.

— Słuchaj! Co ona powiedziała? CZY-sto, ŁA-dnie, PO-rządnie? Toż to właśnie „Czylapo”! A my, osły, nie zrozumieliśmy!

Idzie Zbyszko gościńcem i nad losem rozpacza. Ojciec umarł, a stara matka każe wracać z miasta na wieś. Nie chce się Zbyszko z bogatego miasta do ubogiej wsi wracać, oj nie!

W mieście był na służbie u konsyliarza, którego jaśnie panem doktorem nazywają. Na początku tylko wodę nosił, drwa rąbał, izby zamiatał i garnki szorował, ale że sprytny był, zgrabny w robocie i dokładny, pan konsyliarz rychło go do innej pracy przeznaczył. Pod dachami, w piwnicach zbierał pajęczyny, którymi potem rany opatrywano, w lasach wyszukiwał zioła, którymi rozmaite choroby leczono, proszki i maście ucierał i napary gotował. A lubił tę robotę, ho, ho! Śmiało rzec można, że mu ona w krew weszła. Konsyliarz to widział i, niezmiernie z chłopaka zadowolony, nieraz do pomocy go wołał. Pomagał więc Zbyszko krew puszczać, kompresy robić, rany opatrywać. Bywało, że i do chorych go konsyliarz karocą zabierał, wówczas i datki od bogatych panów dostawał. Dobrze się Zbyszowski w mieście wiodło, nie ma co mówić. Kusy fraczek sukienny i buty porządne od konsyliarza dostał, a na dnie skrzynki, którą pod łóżkiem, w komórce trzymał, dwa dukaty złociutkie jak słońce schował.

— Nadałeś mi się wielce, chłopcze — powiedział konsyliarz — ucz się, ucz! Niewiele lat upłynie, a sam będziesz ludzi leczyć.

I tu nieszczęście przyszło, ojciec umarł i trzeba miasto opuszczać. Idzie Zbyszko, gorzko rozmyśla i nad sobą się lituje.

Niebo się chmurami zaciągnęło, deszcz chłapie, wiatr się zerwał, zimno nim zatrzęsło, bo kaftan sukienny konsyliarz kazał zostawić, i Zbyszko znowu w siermiedze wędruje. Tylko dukaty na piersiach ukryte go grzeją.

— Niewesoły czas, niewesoły los! — rzekł głośno do siebie. — Czort by go odmienił!

Zrobił parę kroków, gdy doszedł go tętent pędzących koni. Obrócił się za siebie wystraszony: to wóz, parą ognistych kasztanów zaprzężony, zbliżał się w galopie. Uskoczył w bok, lecz konie, mocno lejcamy ściągnięte, stanęły dęba koło niego.

— A dokąd to, chłopcze, idziesz samotnie? — posłyszał z wozu głos niewieści. — Jeśli jedna droga, to wsiadaj podwoję.

Zbyszowski nie trzeba było dwa razy powtarzać, skoczył na kozioł i zobaczył młodą, uśmiechniętą kobietę. Zacięła konie, ruszyli.

— A nie boisz się — spytała.

— Czegóż miałbym się bać — odpowiedział zdziwiony — A wy nie boicie się sama jechać, przecież na drogach bywają rozboje! Mnie nie miałoby co zabierać, ale wam — konie piękne i wóz.

— Nie mnie się ludzi bać! — zaśmiała się nieznajoma — Niechaj oni mnie się boją!

— O rety! — zawołał Zbyszko. — Użycie i mnie tej mocy, może wówczas nie będę potrzebował pola orać.

Ujechali kawałek, a niewiasta mówi:

— Coś mi się widzi, żeś z losu niezadowolony.

— Oj, nie! — powiedział z żalem Zbyszko. — I za wszystko bym go odmienił, ale nie ma sposobu. Na doktora w mieście się uczyłem, ale ojciec zmarł i do domu muszę wracać.

— Znalazłby się sposób — rzekła kobieta — ale niebezpieczny. Posłuchaj, co ci powiem: dam ci moc taką, że każdą chorobę ulecysz, ale warunek mój spełniać musisz — uzdrawiaj ludzi tylko za złoto. Czyste złoto! Oślepnij i ogłuchnij na łzy i błagania! Jeśli raz złota nie weźmiesz, to zginiessz! Jak będziesz mnie potrzebował, do lasu o północy idź i huknij trzy razy jak sowa, a przylecę.

Zbyszka strach obleciał, ale zaraz zobaczył siebie na polu, w gorący skwar południa, poczuł piekące ręce w pecherzach od pługa i zawołał prędko:

— Zgoda, niechaj będzie!

Niewiasta konie wstrzymała, ku chłopcowi się obróciła i serca mu ręką dotknęła. Zbyszko poczuł się nagle zmienionym, spojrzał po sobie — ani śladu siermięgi, ubrany był w czarny fraszek sukienny ze złotym galonem. Naprawdę!

Dziwna kobieta tymczasem z wozu zeszła i lejce mu rzuciła.

— Jakże was zwą? — zawołał. — Komu jestem winien moje szczęście i czymże wam zapłacę? — Spojrzał na nią i zobaczył ją inną, nie młodą, a starą, szpetną, złą. Zatrwożył się znowu.

— Nie mów nikomu, żeś się ze mną skumał. Konie i wóz ci daruję, ludzi będziesz leczył, a złoto będziesz brał. Pamiętaj! A czym zapłacisz? — zaśmiała się strasznie. — Zobaczymy się niedługo, to ci powiem. A zwą mnie Sowicha.

Zbyszko gębę otworzył z przerażenia, ale już było za późno. Konie rwały do przodu i żadnej postaci na drodze nie było. Jechał więc i nadziwić się nie mógł swej przemianie. Gdy dotykał woreczka na piersiach — czuł go pełnym złota, gdy spoglądał na wóz za siebie — widział go upchanym tobołami rozmaitymi. Bogactwo!

— E, co tam! — myślał. — Nie ma o co się trapić. Leczyć będę tylko bogatych i nikogo nie skrzywdzę.

(C.d.n.)

Autobus P nie zatrzymuje się

Autobus P wtoczył się z hukiem na Rynek Zbożowy i nie zatrzymując się na przystanku, chociaż roiło się od chętnych do jazdy, pomknął dalej.

Zaniepokojeni pasażerowie zerwali się z miejsc.

— Dlaczego nie zatrzymał się? — dowiadywał się młody mężczyzna, zeszpecony ukośną blizną przez nos.

Konduktor podszedł do kierowcy.

— Co się stało? — zapytał. — Dlaczego nie zatrzymałeś się?

Kierowca wzruszył ramionami.

— Nie zatrzymujemy się — odpowiedział. — Jedziemy bezpośrednio do krancowego przystanku.

— Czyś zmysły postradał? Czy naprawdę nie zatrzymasz się?

— Nie — odpowiedział kierowca.

— A dlaczego? — spytał po chwili konduktor.

Kierowca uśmiechnął się.

— Pomyśl o swojej żonie, o dzieciach! Mój Boże! Przecież nie wolno ci nie zatrzymywać się.

— Daj mi spokój!

Autobus rozwijał teraz maksymalną szybkość, wywołując na każdym skrzyżowaniu panikę wśród pojazdów i przechodniów. Policjanci, którzy notowali numer autobusu, złorzeczyli kierowcy za wprowadzanie zamieszania.

Tymczasem kierowca sprawiał wrażenie pomyłonego.

„Nie zatrzymam się“ — kołatało mu w głowie. — „Już dziesięć lat siedzę na tym niedznym fotelu. Dziesięć lat jeżdżę na tej trasie. Od dziesięciu lat te same twarze, te same ulice, te same drzewa... Dziesięć lat jestem niewolnikiem przystanków. Nie zatrzymam się więcej!...“

Gdy autobus minął w szalonym tempie trzeci przystanek, w wozie powstał tumult. Pasażerowie zaczęli przepychać się do drzwi. Rozległo się głośne wołanie o pomoc. Kilka kobiet zaczęło histerycznie szlochać. A młody mężczyzna ze szramą na twarzy rzucił się do kierowcy i próbował zmusić go siłą do zatrzymania.

— Ten człowiek oszalał! — krzyczał. — Ja muszę wysiąść!

Kierowca rąbnął go łokciem w bok tak silnie, aż — jęcząc — upadł.

Konduktor, dusza-człowiek, uspokajał pasażerów.

— Siedzieć na miejscach! — wołał. — Jeżeli będziemy próbowali siłą usunąć go od kierownicy, może zdarzyć się nieszczęście! Proszę siedzieć na swoich miejscach!

Młody mężczyzna znów dostał wypieków na twarzy. Zerwał się i zaczął pięściami walić w drzwi, zamknięte sprężonym powietrzem. Kiedy ponownie wygrażał kierowcy, dwie odważne niewiasty siłą zatrzymały go na miejscu.

— Trzymajcie go mocno! — zawołał konduktor. — Musimy spróbować po dobroci namówić szofera do zatrzymania wozu.

Podszedł do kierowcy i zaczął mu tłumaczyć. Jednak kierowca, upojony „wolnością”, nie zamierzał zatrzymać wozu. Przeciwnie, coraz szybciej pędził ulicami miasta.

Mijali właśnie dziesiąty z kolei przystanek, gdy rozległo się za autobusem wycie syreny. Było to policyjne auto. Twarz kierowcy była blada jak kreda. Na czole perliły się drobniutkie kropelki potu. Zrozpaczony — dodał gazu. Na nic się to zdało. Policyjne auto jak cień podążało za autobusem: coraz bliżej, coraz bliżej, doganiając je metr po metr. W pewnym momencie minęło je i w nagłym zwrocie zatrzymało się w poprzek ulicy, nie zostawiając wolnego miejsca ani z prawej, ani z lewej strony. Szofer szarpnął kierownicą, hamulce zgrzytnęły, autobus otarł się jeszcze chłodnicą o kamienny mur i zatrzymał się. Kierowca sprawiał wrażenie nieszczęśliwego człowieka, zagłębionego w sobie.

„Skończone!” — myślał. — „Wszystko skończone!”

Policja otoczyła autobus. Trzej policjanci wskoczyli do wozu i zaczęli przeciskać się między pasażerami.

Kierowca poczuł rękę na swoim ramieniu i spostrzegł nad głową mundur oficera policji.

— Gratuluję! — mówił oficer. — Otrzymuje pan 5000 nagrody! Meldunek, że morderca jest w pańskim wozie, dotarł do nas zbyt późno. Gdyby pan zatrzymywał się, na pewno umknąłby już na pierwszym przystanku.

Zmieszany kierowca odwrócił się i ujrzał, jak policjanci nakładali młodemu mężczyźnie z ukośną szramą, ciężkie, błyszczące kajdanki.

— Ma dwa ludzkie życia na sumieniu — dodał oficer.

(Dokończenie ze str. 2)

55 komnat w ciągu 2 godzin, a przy fontannie zadumał się i stał kilka godzin. W jej wgłębieniu pozostawił białą i czerwoną różę i na tę pamiątkę codziennie w tym miejscu kładzione są świeże róże. Puszkini napisał libretto (czyli słowa) do opery pt. „Fontanna Bakczysaraju”.

„...W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu, dotąd stoi cało
I perłowe lzy sącząc woła przez pustynię:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie,
O, hanbo! wycie przeszły, a źródło zostało”.

POZNAJMY SIĘ

Garbacz Józef – Popularnia
p-ta Potok Stany pow. Janów
Lub.

Semczyszyn Mikołaj – Ustrzyki
Doine ul. Dzierżyńskiego 12.

Lis Maciej – Radom ul. Lano-
wa 5 m 1.

Roslaniec Krystyna – Bęsia
p-ta Kolno, pow. Biskupiec, woj.
Oisztyn.

Kuczera Henryk – Barlinek ul.
Zielna 7 woj. Szczecin.

Cichowicz Jerzy – Kozuchow ul.
1 Maja 18 woj. Zielona Gora.

Porzak Jerzy – Lublin ul. Na-
rutowicza 35 m 1.

Kosiński Zygmunt – Biała Pod-
laska ul. Sitnicka 43.

Lekki Tadeusz – Ujkow Nowy
38 p-ta Bolesław pow. Olkusz.
Kraków.



SKAKANKA

Poczawszy od oznaczonej kratki przeskakuj, w kierunku ruchu wskazówek zegara jednakową ilość kratek i odczytaj rozwiązanie